

665

teatr

## RATUNKU... „POLICJA“!

W szacownym miesięczniku „Polska” czytałem przed paru laty notatkę o wystawieniu w Paryżu dwu sztuk Mrożka. Przyjęcie było ponoć chłodne. Recenzent poważnego dziennika pisał, że świat utworów Mrożka jest światem nieprawdopodobnej patologii społecznej i politycznej. A więc z gruntu obcym społeczeństwu o wiekowych tradycjach demokratycznych (jak francuskie, oczywiście) i dlatego niezrozumiałym. Zaś aluzyjny język może być komunikatywny tylko dla publiczności kraju, który wydał autora „Policji”.

Krytyk francuski popełnił błąd doszukując się wyłącznie politycznego odniesienia dramatu. Reszta tzn. pure-nonsensowna, ale nie pozbawiona społeczno-filozoficznego wydziwisku, powiastka o żandarmowości i cywilności, o ich wzajemnym przenikaniu się wydała mu się nieważna, nieautentyczna. Być może został zasugerowany przez taką właśnie intencję inscenizatora.

Podobne wystawienia „Policji” zdarzały się również i u nas. A już z całą pewnością takie było i jest dotąd nastawienie publiczności. Sławomir Mrożek to dla niej twórca polityczny, drapieżny krytyk współczesności, wreszcie pisarz rozrachunkowy i ten stereotyp wyobrażeniowy decyduje o odbiorze jego sztuk. Choćby się autor przysięgał, że „Policja” nie jest żadną satyrą na okres miniony, choćby w didaskaliach przestrzegał przed metaforycznym i aluzyjnym odczytywaniem jej treści, to i tak ludek swoje myśli.

Poniekąd sam sobie Mrożek winien. »Dramat ze sfer żandarmeryjnych« jest tak wąty w warstwie fabularnej. Właściwie bardziej skecz niż rzeczywisty dramat — pisał Zygmunt Greń. I w jakim celu te wszystkie prześmiewki z policji, która

szukając racji bytu sama się wyaresztowała? Dla komizmu absurdałnej sytuacji, żonglerki udanymi powiedzonkami, odrobiny refleksji nad ludzką naturą? W kraju, gdzie dramat zwykł szarpać narodowe rany albo chlastać biczem patriotycznej satyry nikt w to nie uwierzy. Obca publiczność smęci się na „Policji”, bo za mało dla niej uniwersalna, nasza — sztywnieje, gdy owa uniwersalność eliminuje spodziewane podteksty polityczne. A gdy już reżyser skrewił zupełnie i zrobił balona i z pisarza, i publiczności, to jest całkiem źle.

Takie myśli nawiedzały mnie podczas spektaklu „Policji”, którą Teatr W. Siemaszkowej zainaugurował nowy sezon. Przedstawienie było szkolne. Na sali młodzież z klas maturalnych. 18-20-latki przy każdej akcji wyrażające dezaprobatę dla klasyki i umiłowanie literatury współczesnej. Widzowie zatem nie premierowi, co to dziesięć razy rozejrzą się na lewo i prawo zanim przejawią reakcję, obojętne pozytywną czy negatywną. A jednak ta młodzież pozostała nieporuszona. Z jednym jedynym wyjątkiem — sceny finałowej, kiedy sponad poplątanych łańcuchów kajdanów, w których tkwią dłonie Generała, Adiutanta i Naczelnika Policji, padają słowa: „Policja ma pełne ręce roboty”.

Winę za martwość przedstawienia ponosi reżyser Olga Koszutska. Zaprzeczeniem złej koncepcji nie jest, niestety, brak koncepcji. W tej „Policji” nie ma rzeczywistości cienia aluzji do bliższej czy dalszej historii narodowej, zaś policja jest taka, jaka powinna być — superpolicyjna. Co do reszty... Resztę pani reżyser zawierzyła mrożkowemu słowu i aktorom. A właśnie w tym konkretnym przypadku jest to tworzywo kruche, zwodne, wymagające

podparcia aktorstwem precyzyjnie ukierunkowanym. Odtwórcy przedstawienia grają każdy na własną rękę. Jak im intuicja nakazuje i temperament aktorski.

Jerzy Mędrkiewicz uczynił swego Generała postacią od początku do końca farsową. Wpadł na scenę drobnym kroczkiem zdiadziałego ramola i grał konsekwentnie głupka w cesarsko-królewskim wydaniu, któremu pomnik wystawił po wsze czasy Hašek swym niezrównanym piórem. Nawet szabla źle przypięta (nie wiem, czy nie z przypadku) ustawicznie wpadała mu między kolana. Jerzy Rudolf jako Więzień a potem Adiutant był znowu konsekwentnie chłodny, powściągliwy w sposobie poruszania się i wypowiadania, z dystansem do obydwu wcieleń. I chyba przez to najbliższy do mrożkowego szyderczo-intelektualnego stylu.

Naczelnik Policji w interpretacji Hilarego Kluczkowskiego w pierwszym i drugim akcie to całkiem odmiennie postaci. Tam jakoś niezręcznie, niemrawo rozgrywający partię o zachowanie policyjnej racji bytu offerma, tu sprytny wyga, równorzędny partner w intelektualnym pojedynku z Adiutantem. Podobną metamorfozę stylu gry Zbigniewa Zaremby, w pierwszym akcie — Sierżanta Policji, w drugim — Więźnia trudno uzasadnić zmianą statusu kreowanych osób. I znów muszę stwierdzić, że ten milczkowaty, sceptyczny, przemieniony z policjanta w więźnia osobnik był bliższy intencjom autora dramatu.

Dramat... Już to gatunkowe określenie „Policji” budzi wątpliwości. Z ustaleniem rodzaju kłopot jeszcze większy. Zwłaszcza jeśli chodzi o tę konkretną inscenizację... Czy to farsa, czy komedia, a może groteska lub humoreska? Wszystko wymieszało się w reżyserskim kociołku pani Koszutskiej. Wolałbym już przerobienie „Policji” na konsekwentnie zabawne farsidełko. Mrożek też by to nie był, ale przynajmniej byłoby się z czego śmiać.

Tak szczerze powiedziawszy, do tej niegdyś wychwalanej, cudownie absurdałnej igraszki mole zaczynają się zlatywać. Prawda dyrektorze Wieszczycki, że jest tyle sztuk Mrożka, w których ma on coś do powiedzenia na bliższe nam tematy. Bo my, Polacy lubim politykować...

E. TEODORCZYK

Państwowy Teatr im W. Siemaszkowej w Rzeszowie.  
Sławomir Mrożek — „Policja”. Reżyseria: Olga Koszutska. Scenografia: Irena Burke.  
Premiera — 6 września 1975 roku.



Fot. Z. Postępski

Hilary Kluczkowski (Naczelnik Policji) i Jerzy Rudolf (Więzień)